TOŻSAMOŚĆ · FELIETON

PLEMIONA BEZ OBYWATELI. JAK STALIŚMY SIĘ WIDZAMI WE WŁASNYCH BAŃKACH

Michał Wlazło · 25 czerwca 2026

Kompromitacja nie kończy już autorytetów. O bańkach, które straciły zdolność korekty samych siebie.



Kompromitacja kiedyś kończyła autorytet. Dziś najwyżej zmienia kategorię produktu. Straciliśmy nie tyle prawdę, ile zdolność wyciągania z niej wniosków. Przestaliśmy być uczestnikami wspólnoty, stając się widzami. To esej także o mnie, bo piszę go z tej samej widowni.

Bohater, który zniknął

Był kiedyś taki archetyp, powszechny w popkulturze. Lokalny dziennikarz albo bloger tropił układy i korupcję. Miejscowa policja na zlecenie burmistrza próbowała mu w tym przeszkodzić albo go zdyskredytować, a społeczność stopniowo przesuwała się od początkowej ambiwalencji do wiary w jego słowa. Ostatecznie sprawiedliwość zwyciężała. Miejscowa fabryka przestawała wylewać trujące śmieci do rzeki, władza traciła stanowiska, a ludzie wracali do spokojnego życia – sąsiedzkich plotek i koszenia trawników – wolni od zagrożenia, z którego wcześniej nawet nie zdawali sobie sprawy.

Była w tym szczególna relacja między owym blogerem czy dziennikarzem a społecznością. Nieustępliwość i determinacja bohatera w końcu kruszyły skorumpowany układ, a jego największą nagrodą

był sam fakt uporządkowania fragmentu świata. Przynajmniej w mojej nieco nostalgicznej i wyidealizowanej wersji.

Nie wiem, jak często taki scenariusz zdarzał się w rzeczywistości. Z pewnością dwie dekady temu każde polskie miasteczko miało jakichś dziennikarzy czy blogerów patrzących na ręce lokalnej władzy. Rzadko znajdowali coś naprawdę interesującego, jak afera reprywatyzacyjna, w której stupięćdziesięciolatkowie „odzyskiwali" jakiś nowy budynek za kamienicę zburzoną przez Niemców podczas wojny. Najczęściej problemem był brat szwagra asystenta w radzie gminy, który wygrał przetarg na postawienie ławeczek przy placu zabaw. Była to jedna z dwóch firm tego typu w powiecie, a drugą prowadził ojciec blogera.

Dawne fora, blogi, Wykop, Reddit czy różne grupy tematyczne również nie były szkołą cnót obywatelskich. Bywały chamskie, wsobne, okrutne i pełne ludzi, którzy mylili bezczelność z niezależnością myślenia. Miały jednak jedną przewagę nad dzisiejszymi bańkami: nie dało się w nich całkiem wyłączyć tarcia. Ktoś mógł być „nasz", a jednocześnie napisać: panowie, tego już nie brońmy, bo robimy z siebie idiotów.

Kompromitacja zmienia kategorię produktu

Ta dynamika – winy, prawdy, kary, kompromitacji, wycofania, pokuty, czasem odkupienia – niemal całkowicie się dziś zatarła.

> Mamy ekspertów i influencerów prawie kuloodpornych. Prawie, bo czasem jednak wychodzi coś tak ciężkiego, że nawet najwierniejsza publiczność przez chwilę nie wie, jak to zinterpretować. Ale zasadniczo kompromitacja coraz rzadziej kończy autorytet. Częściej zmienia kategorię produktu.

Typowa instagramowa ekspertka od dobrych związków po rozpadzie własnego małżeństwa staje się ekspertką od dobrych rozstań, a potem od dobrych rodzin patchworkowych albo od radzenia sobie z toksycznym czy narcystycznym byłym partnerem. W międzyczasie diagnozuje u siebie ADHD. I zupełnie niewzruszona totalną prywatną porażką we własnej eksperckiej dziedzinie dalej sprzedaje e-booki i prowadzi podcast – a dziesiątki albo setki tysięcy jej obserwujących w ogóle nie przyjmuje do siebie tego, co się właściwie wydarzyło i jakie konsekwencje dla równowagi Wszechświata ma podążanie za jej radami.

Analogicznie internetowego guru od inwestycji nie obejdzie fakt, że wystarczyło jedno nieprzewidziane przez niego zdarzenie, by stracić jedną trzecią oszczędności – własnych i tych, które powierzyli mu inni. Dalej, z tureckim uśmiechem i niezachwianą pewnością siebie, będzie sprzedawał swoje e-booki i poradniki. Internetowy specjalista od żywienia może nagrać rolkę o tym, że głównym składnikiem włosów jest kreatyna, więc warto ją brać regularnie – nie tylko dla przyrostu siły – a następnie dalej dostawać płatne współprace od firm produkujących zdrową żywność. Fitfluencerka, z zawodu żona piłkarza, może bez żenady sprzedawać w swoim sklepie gęsi smalec jako bogate źródło białka i dalej opowiadać dziennikarzom, że do wszystkiego doszła absolutnie samodzielnie – dzięki swojej wiedzy, determinacji i doświadczeniu. Każda próba zakwestionowania takich kompetencji kończy się tą samą gadką o hejterach i zawistnikach.

Swego czasu popularnym w polskim internecie ekonomistą był profesor Krzysztof Rybiński, znany jako

zwiastun armagedonu – końca Unii Europejskiej i wielkiego kryzysu finansowego. Zupełnie słusznie wskazywał na zjawiska świadczące o głębokim rozkładzie tej wspólnoty. Zupełnie niesłusznie wnioskował za to, że jej kres nastąpi w najbliższym czasie – nie doceniając elastyczności mechanizmów politycznych, które trzymają ją w ryzach. Po którejś pomyłce zużył się nawet we własnej bańce. Czy dziś też by to nastąpiło?

Obywatele zamienieni w widownię

Dyskusja między bańkami czy zwaśnionymi plemionami nigdy nie była łatwa. Miały jednak wewnętrzne mechanizmy korekty. Te czasem prostowały dynamikę bańki, nie pozwalając jej zejść na zupełne manowce. Trudno polemizować ze stwierdzeniem, że społeczności Wykopu, Reddita czy rozmaitych internetowych forów i grupek na Facebooku były toksyczne. Jednak ich członkowie byli obywatelami.

> Członkowie dzisiejszych baniek są coraz częściej tylko odbiorcami generowanych treści. Stracili swoje miejsce w grupie, dostali miejsce na widowni.

Pierwszym mechanizmem tej utraty było zrównanie krytyki – także tej wewnątrzbańkowej – z hejtem. Drugim jest zalew treści, który AI tylko przyspieszyło. Dawniej nawet krytyka, której próbowano odmówić prawa głosu, miała szansę przekonać przynajmniej część obywateli bańki i uruchomić efekt kuli śnieżnej. Dziś tonie w syntetycznym szumie, produkowanym szybciej, niż ktokolwiek jest w stanie go sprawdzić.

> Fałsz coraz trudniej odróżnić od prawdy, szczególnie jeśli jest zgodny z naszymi poglądami. A każda bańka potrafi dziś wygenerować więcej uzasadnień dla własnego kursu, niż dawniej potrzebowała do jego skorygowania.

Randka, czyli dwie bańki przy stoliku

Weźmy jedną z sytuacji, jakich codziennie zdarzają się setki. On – inżynier. Nie ten stereotypowy flejtuch z zakolami, we flanelowej koszuli i dwóch różnych skarpetach frotte. Niech będzie z tych nowoczesnych inżynierów. Zadbany. Wysportowany. Ma jakąś pasję – niech to będzie motor. Może mieć dopasowaną koszulę, zegarek z tych jeszcze nie luksusowych, ale już nie tylko użytkowych, fryzurę od barbera, a dwa razy w tygodniu nakładać na twarz retinol. Może też grać w squasha i słuchać podcastów. Zna swoją wartość.

Ona może być farmaceutką – z tych, co miały najlepsze oceny na roku. Ćwiczyć jogę. Tańczyć salsę. Dzięki tanim liniom lotniczym zwiedziła do tej pory 63 ze 195 krajów świata. Próbowała surfingu. Na profilowym w serwisach społecznościowych ma zdjęcie z deską. Softtopem do nauki, ale jednak prawdziwą, z oceanem w tle. Na bieżąco śledzi koreańską medycynę anti-aging, a jedna z półek w jej łazienkowej szafce ugina się pod wyrafinowanymi perfumami na każdą okazję. (On ma tylko jedne – Dior Sauvage). Ona też zna swoją wartość.

Umawiają się na randkę, sparowani przez popularną aplikację. Miał „to coś". Dlatego ona go wybrała.

On w prawo przesuwał prawie wszystkie. „Później się zobaczy".

Spotykają się w kawiarni. Takiej normalnej, nie galeryjnej. Ona nie chce dawać sygnałów, że mogłaby być mu coś dłużna, więc woli neutralny grunt. On się boi, że to może być jedna z tych, co lecą tylko na kasę – i że gdyby poszli do restauracji, musiałby zostawić co najmniej 500 złotych.

On jej opowiada, jak z kolegami w zeszłe wakacje wyjechali motorami do Turcji. Jak zwiedzili pół Anatolii i dojechali do Göbekli Tepe. Ona podnosi wzrok. Potem coś o epoce lodowcowej i o tym, że kiedyś mogła istnieć cywilizacja dużo bardziej zaawansowana od naszej. Na Malcie są na to dowody.

Ona była na Malcie. To był dwudziesty pierwszy kraj, jaki odwiedziła. Potem płynnie przechodzi do tematu: najważniejsza w mężczyźnie jest empatia i dostępność emocjonalna. Ona potrzebuje partnera, który by ją wspierał. I najlepiej, żeby przeszedł terapię.

On chciałby mieć dom. Jak jego rodzice. Bo wychował się w małym mieście. Ona nie wie jeszcze. Na pewno 29 lat to za wcześnie, żeby myśleć o dzieciach.

On już wie, że ona jest niedojrzała. Ona widzi, że on jej nie słyszy. On za dużo mówił o sobie i może być narcyzem. Ona pewnie już się w życiu nabawiła i chce się ustatkować z jakimś frajerem. A on nie jest frajerem. Każde liczy czerwone flagi.

Proszą o rachunek. Ona mówi: 50/50. On, nieco zaskoczony, mówi, że zapłaci. Ona nie protestuje. To tylko kawa i ciastko. Zostawia dziesięć złotych napiwku.

Chwilę idą razem i żegnają się z uśmiechem. Nie odezwą się więcej do siebie. On powie kolegom, że „to jednak nie ta". Ona – że to on ją zghostował. Ona dalej będzie w łóżku, z serialem w tle, przeglądać profile w poszukiwaniu kogoś, kto ma w sobie „to coś". On, gdy dostanie matcha, przeczyta, z kim go sparowało, upewni się, że to nie jakaś kosmetyczka z Radomia, i odpali ChatGPT, żeby zapytać, jak zacząć rozmowę w intrygujący sposób.

Wigilia, na której nikt nie zmienia zdania

Inna sytuacja. Inny kontekst. Inny czas. Spotkanie rodzinne. Wigilia. Albo imieniny, ale zostańmy przy Wigilii – na imieniny zaprasza się też przyjaciół, co zaburza układ sił. Niech to będzie dom babci. Może na Śląsku, albo pod Lublinem, albo w Skarżysku-Kamiennej. Może przyjechać jej córka z Warszawy. Niech będzie, że jest dyrektorką w jakiejś korporacji. Mąż to prokurator. Syn niech będzie po historii. Został w mieście rodzinnym. Pracuje w lokalnej szkole, a jego żona w urzędzie. Mają trójkę dzieci. Najstarsza córka jest w liceum. Ci z Warszawy mają syna Piotrka. Piotrek ma 30 lat.

Syn z rodziną byli wcześniej. Pomagali gospodyni w przygotowaniach od południa. Jego żona z córkami pomagała w kuchni. On z synem wieszali lampki i ustawiali dekoracje. Siedmiolatek był raczej obciążeniem niż pomocą, ale uczyli go obowiązków. Córka wraz z mężem przyjechali przed samą kolacją. „Na gotowe" – pomyślała synowa. Przywieźli zamówione w butikowym cateringu świąteczne ciasta i łososia pod pierzynką. Karp smakuje mułem. Jechali kilka godzin. Dwie godziny próbowali się wydostać z Warszawy. Nie mogli wyjechać wcześniej, bo Pan Prokurator zamykał jakieś raporty przed końcem roku.

Przełamali się opłatkiem. Zasiedli przy stole. „No i jak tam ten wasz rząd?" – zaczepnie zapyta historyk.

Po dwudziestej wpada Piotrek z dziewczyną. Są razem od pięciu lat. Nie myślą na razie o ślubie. Złożyli

życzenia w progu. Bez obściskiwania. Poinformowali wszystkich, że jutro lecą na Maderę. Zostaną tam do Trzech Króli. Podobno pięknie wyglądają fajerwerki w Funchal. Posłuchali chwilę rozmowy, która wróciła na wcześniejsze tory. O tym, że Trzaskowski to nawet siano do zoo z Niemiec zamawia. „Ale to jest specjalne siano, w Polsce takiego nie ma, a poza tym przynajmniej nie jest alfonsem i ćpunem". „W nos to akurat lubi walnąć ktoś inny" – mruknął pod nosem Piotrek, myśląc o jednym z ministrów – „poza tym nie ma w tym nic strasznego".

Siedmiolatek wyciągnął siano spod obrusa. „Ale ono jest polskie, nie babciu?" Babcia się zaśmiała. Tylko najstarsza siostra nie podniosła głowy znad telefonu.

Piotrek uciekł po godzinie. „Znowu to samo". Dyskusja jeszcze trwała. Prokurator próbował tłumaczyć, że niezależnie od intencji to sposób przeprowadzenia reformy sądownictwa przez poprzednią władzę spowodował paraliż ich pracy. I otworzył furtkę co cwańszym przestępcom – do blokowania ekstradycji na podstawie braku niezależności polskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie lubił tych z Iustitii, ale tych drugich nie lubił na tyle bardziej, że nie zamierzał stawać w ich obronie w absolutnie żadnym wypadku.

Historyk tłumaczył siostrze, że premier nie ma żadnych poglądów poza bieżącymi sondażami i że jeżeli w danej chwili mu się to opłaca, robi dokładnie to, o co oskarżał poprzedników. I wskazał na mur na granicy. Urzędniczka opowiedziała, że jej koleżanka z pracy zamieszcza na Facebooku jakieś zdjęcia prezydenta ze striptizerkami. Z daleka widać, że to AI. „Może i tak, ale te zdjęcia Tuska w niemieckim mundurze to też fejk" – odpowiedziała dyrektorka.

Rozjechali się. Nie było złej atmosfery. Mimo wszystko lubią się nawzajem. I lubią ten rytuał. „Oni się nie zmienią" – pomyślały obie strony. „Nic tu się nie zmieni, zanim to stare pokolenie wymrze" – pomyślał Piotrek.

Powiedzieć prawdę swoim – i zostać przy stole

Obie te sytuacje miałyby znacznie większą szansę na znalezienie choćby minimalnej przestrzeni, w której bohaterowie mogliby się spotkać, gdyby zachowały jakąkolwiek zdolność do wewnętrznej autokorekty. Być może bez teflonowych porad internetowych specjalistek od relacji i apostołów manosfery nasza para na randce dostrzegłaby w sobie dwie wartościowe osoby. Może pan prokurator powstrzymałby żonę przed powtarzaniem brutalnych i niczym niepotwierdzonych oskarżeń wobec urzędującego prezydenta – poza faktem, że w młodości pracował jako portier w hotelu – i uchroniłby ją przy okazji przed blamażem w każdym pozawłasnobańkowym towarzystwie. Może nauczyciel historii potrafiłby wyartykułować swoje autentyczne zarzuty wobec obecnej władzy: opowiedzieć o maturzystce, która rodziła na SOR-ze, bo szpital zamknął porodówkę, o rosnących kosztach życia, zamrożonych pensjach, o kłopotach z dojazdem jego uczniów – zamiast ukrywać to wszystko za infantylnymi zaczepkami o to, skąd pochodzi siano w zoo.

I w dużej mierze dotyczy to także pewnej metabańki – tej, która postanowiła wyjść poza swoją pierwotną bańkę. Możemy śledzić dziennikarzy strzelających równo do wszystkich i tropiących afery niezależnie od barw. Możemy oglądać ludzi z różnych plemion, którzy potrafią przez dwie godziny rozmawiać bez obrażania się nawzajem. Możemy subskrybować „te sensowne"[1] media z każdej strony, głosować na „tego dobrego" z Ruchu Narodowego, kibicować pojedynczej posłance z lewicy albo lokalnemu społecznikowi, którego akurat nie da się łatwo przypisać do żadnego obozu. A i tak wewnątrz tej „ponadpolitycznej"

bańki coraz głębiej zakorzenia się przekonanie, że nic się tu nie zmieni, dopóki „tamci nie odejdą".

Najłatwiej widzieć ten mechanizm u innych. W cudzej bańce obrona własnego ego zawsze wygląda jak głupota. We własnej – jak elementarna przyzwoitość. Dlatego nie brakuje nam ludzi, którzy potrafią powiedzieć prawdę przeciwnikom. Tych jest nadmiar.

> Brakuje takich, którzy potrafią powiedzieć ją swoim – i nadal zostać przy stole.

Bez wyjścia do tego wujka przy stole i próby przekonania go, żeby wpuścił z powrotem do swojej głowy tamten archetyp – tego drążącego wszystko, upierdliwego dziennikarza – ta bańka, podobnie jak ten esej, jest tylko debatą oksfordzką. I najpewniej już nią zostanie.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=p5LgWmVHThQ

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/plemiona-bez-obywateli-jak-stalismy-sie-widzami-we-wlasnych-bankach/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć